Opłata pocztowa uiszczana ryczałtem.

# ŁOWIEC POLSKI



Pod koniec zimy. (z cyklu: Polesie). Fot. Andrzej Dobrski.

ORGAN POLSKIEGO ZWIĄZKU STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH

WYCHODZI CO TYDZIEŃ

Nr. 13 (668) 26 MARCA 1932 R.

**O NIEOTRZYMANE NUMERY.**

Prosimy uprzejmie o wczesne zawiadamianie nas o nieotrzymanych numerach pisma. Reklamacje będą uwzględniane tylko w ciągu 3 tygodni od daty wyjścia danego numeru. Niereklamowane numery mogą być odstąpione w cenie 1 zł. za numer, lub o ile są na wyczerpaniu — jedynie w cenie całego rocznika.



Z polowania na dziki na Podkarpaciu. Ze zbiorów ś. p. Adama Ebenbergera.

# ŁOWIECTWO A OCHRONA PRZYRODY.

**(Na marginesie artykułów prof. Domaniewskiego i mec. Garczyńskiego).**

Artykuły prof. Domaniewskiego i red. Garczyńskiego w dwóch kolejnych numerach „Łowca Polskiego" dały poniekąd pewien pogląd na zapatrywania tak przyrodników - myśliwych, jak myśliwych - przyrodników na temat ochrony przyrody i jej stosunku do łowiectwa. Dyskusja ta, będąca starciem się dwóch poglądów i śledzona z uwagą przez ogół myśliwych, jest tem ciekawsza, że różnice pomiędzy obu obozami nie tyczą się zasady, co do której obydwa obozy są w zupełnej zgodzie. Pragnąłbym do tej dyskusji, jako przyrodnik, śledzący bacznie tak rozwój idei ochrony przyrody, obejmującej pośród szerokich warstw naszego uświadmionego przyrodniczo społeczeństwa coraz to szerszy krąg zainteresowania, jak też jako myśliwy, któremu rozwój naszego łowiectwa w szerokiem tego słowa znaczeniu leży na sercu, dorzucić parę uwag i niektóre z poruszonych zagadnień jaśniej sprecyzować.

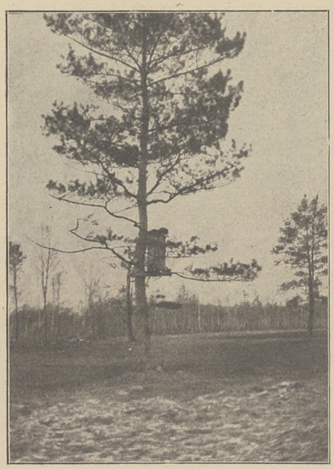
Zdawałoby się na pierwszy rzut oka, że z chwilą, gdy co do zasady samej ochrony przyrody niema różnic istotnych pomiędzy światem par excellence łowieckim z jednej, a przyrodniczym z drugiej strony, to sprawa współpracy obu obozów przedstawia się nader prosto. Wszak jeden przyświeca cel, jakim jest umiłowanie przyrody i chęć zachowania jej dalszym pokoleniom, conajmniej w tej postaci, w jakiej nasze pokolenie ją zastało i w takich warunkach, na jakie nas przy dzisiejszych stosunkach społecznych i ekonomicznych stać. Różnice pomiędzy obu obozami istnieją i, jak wynika z głosów w prasie przyrodniczej i łowieckiej, różnice w poglądach na tę sprawę sięgają głębiej, niżby się to z głosów i zapewnień biorących udział w toczącej się dyskusji zdawało. Pochodzi to stąd, że różnice te tkwią gdzieindziej, nie w samym celu, lecz w poglądach na stosowane metody. Zdaje mi się, iż te różnice w metodach, jakie dla osiągnięcia tego samego celu stosują przyrodnicy, różnią się od metod, jakie mogą stosować myśliwi. Już pomijam tę dziwną, najczęściej zupełnie dla mnie niezrozumiałą nieufność, dziwne niedowierzanie przyrodników, szczególniej ze strony przyrodników - niemyśliwych, dla których myśliwy jest, sit venia verbo, czemś, co ma na celu jedynie strzelanie i zabijanie zwierzyny, dla których „ma istnieć tylko to, co daje mięso, względnie mięso i trwa-

le trofea. Resztę się tępi". Tak wedle słów prof. Domaniewskiego przedstawiałaby się charakterystyka przeciętnego myśliwego w Polsce. Że tak nie jest, że p. Domaniewski się myli, to, zdaje mi się, udowodnił ponad wszelką wątpliwość red. Garczyński w swoim artykule. Że dziś jeszcze w Polsce, w różnych połaciach kraju, istnieją myśliwi, a nawet pojedyńcze kółka łowieckie typu „Aasjager", to nie jest dla mnie żadnym dowodem, a tembardziej nie prowadzi do wniosku, by w s z y s c y polscy myśliwi mieli być od dzieła ochrony przyrody wyłączeni. To, że tacy myśliwi istnieją, dowodzi istnienia conajwyżej wyjątków, zmniejszających się zresztą z roku na rok. Tak twierdzić może tylko ktoś, kto nie czytuje „Łowca", kto nie orjentuje się, ile przy wszystkich brakach naszej ustawy łowieckiej i przy o ileż częstokroć nie wystarczającem poparciu czynników społeczno - państwowych z roku na rok na polu łowiectwa naszego — tej naprawdę praktycznej ochrony przyrody się dokonywa. Dodajmy odrazu, że o ileż mniejszą opieką cieszy się łowiectwo w t y c h właśnie poczynaniach ze strony ustawodawcy i ze strony czynników państwowych. A jest to współpraca w dziele ochrony naszej przyrody, ale nie na kilkunastu, czy kilkudziesięciu rezerwatach, gdzie gospodarka łowiecka, jak to będę miał sposobność udowodnić, jest najczęściej kierowana jedynie z puntku widzenia teorji, jako takiej bezwzględnie słusznej, ale nieraz niemożliwej do zastosowania w konkretnym przypadku, — lecz współpraca na ż y w y m o r g a n i z m i e p r z y r o d y w c a ł e j P o l s c e, w każdej większej kniei, w każdem wzorowem kółku łowieckiem. Przykładów nie cytuję, przytoczył ich kilka red. Garczyński, zdaje mi się są one zbyt przekonywujące, by je pomnażać. Rzecz dziwna, tej współpracy codziennej ze strony przyrodników - niemyśliwych nie podnosi się prawie wcale, nie wie się o niej i trzeba dopiero artykułu polemicznego, by szeroki ogół mógł się o niej dowiedzieć. O tej doniosłej roli, jaką odegrać może łowiectwo na polu ochrony naszej przyrody rodzimej, zapomina się zupełnie. Przecież ta współpraca winna być oparta na podstawach rozumnego ustawodawstwa łowieckiego przy wytycznych o g ó l n e j n a t u r y, jakie dać nam mogą i powinny czynniki urzędowe ochrony przyrody w Polsce. Ale ta współpraca może nastąpić dopiero z tą chwilą, gdy o metodach współpracy mówić będziemy bez uprzedzeń wzajemnych, bez „niedowierzania" wzajemnego, ale bodaj o wiele większego w stosunku do myśliwych ze strony urzędowej ochrony przyrody, niż odwrotnie. Słusznie mówi p. Domaniewski: „trzeba, aby zniknęła raz wreszcie ta nieufność, która istnieje pomiędzy myśliwymi i „ochroniarzami"... zresztą... nieufność... polega na nieporozumieniu". W świetle moich wywodów t k w i o n a i g d z i e i n d z i e j, bodaj w tem, że myśliwych nie wciąga się do pracy w tem dziele, a „świat myśliwych w tych warunkach każdą dobrą radę, pomoc, współdziałanie przyjmie chętnie" to zapewnienie red. Garczyńskiego ze strony świata myśliwych chyba jest dosyć jasne, by jakiekolwiek komentarze były potrzebne!

Zkolei pragnąłbym poruszyć jeszcze s p r a w ę r e z e r w a t ó w d l a f a u n y, świat łowiecki najbardziej interesującej. Zgadzam się w zupełności z red. Garczyńskim, że o ile łatwo mówić i stwarzać „pomniki przyrody" w zakresie flory, to, powiedzmy sobie szczerze, o wiele trudniej, nawet bardzo trudno stwarzać je dla zwierząt. Przez stworzenie rezerwatu, dajmy na to (mówię przykładowo) na grani Giewontu dla szarotek, przez zakazy chodzenia i zrywania, łatwo osiągniemy w krótkim przeciągu czasu dalsze zachowanie tej rzadkiej i cennej roślinki, a może nawet szybki rozwój jej w danym rezerwacie. Jest to łatwo zrozumiałe, gdyż, jak wiemy z botaniki, tworzy ona tam pewien zespół, w którego swobodnym rozwoju gra czynników biologicznych, decydujących o jej istnieniu i rozwoju dalszym, jest stosunkowo mało skomplikowaną, a ingerencja czynnika człowieka stosunkowo nie daleko sięgającą i łatwo dającą się wyeliminować. Ale przenieśmy ten przykład do naszych wyższych zwierząt, jak bardzo skomplikowana jest gra czynników biologicznych, ile tych czynników musi z sobą współdziałać, by np. niedźwiedź, jak to pisze prof. Domaniewski — „nie był mytem, o którego tropie widzianym rozprawia się całemi tygodniami" w Tatrach i mógł się tam pomyślnie rozmnażać. Przykłady są tak jasne i tak nawet dla laika proste, iż kwestję tworzenia rezerwatów, i to nie martwych, lecz żywych, dla większej zwierzyny należy w naszych warunkach uważać z a z a d a n i e n a d z w y c z a j c i ę ż k i e, może nawet w wielu wypadkach za niewykonalne. Sprawę tę poruszył już red. Garczyński, pragnę do niej tylko kilka uwag dorzucić. Wydaje mi się, iż nie zdajemy sobie prawie zupełnie sprawy z tej g r y c z y n n i k ó w b i o l o g i c z n y c h, z zaburzeń w swobodnej grze przyrody, ale chcemy odtwarzać tę przyrodę drogą surowych rozporządzeń, drogą pozostawiana jej taką, jaka jest, zapominając o tem, że ta przyroda, ta puszcza, aczkolwiek ma nazwę tę samą, nie jest nią jednak, gdyż, czy to jej zmniejszenie, czy ingerencja człowieka, nie dająca się częstokroć ze względów gospodarczych lub społecznych usunąć i do pierwotnego w niej udziału doprowadzić, nadała jej inny charakter i wprost wymaga dziś opieki człowieka, podobnie jak zwierzę, oswojone i wypuszczone, zpowrotem na łono przyrody, do niewoli powraca, gdyż do nowych warunków walki o byt dostosować się nie może.

Na zakończenie tego ustępu, pragnąłbym poruszyć jeszcze dwie kwestje: g o s p o d a r k i ł o w i e c k i e j i n i e m o ż n o ś c i p o w i e r z e n i a s z e r e g u zagadnień ochrony przyrody — łowiectwu. Wprawdzie i p. Domaniewski przyznaje, iż marzyć nie możemy o pozbawieniu rezerwatów gospodarki łowieckiej, ale czyni to z dozą zastrzeżeń:... „w każdym razie naszą gospodarkę w nich (rezerwatach) powinniśmy ograniczyć do minimum". W tym samym artykule zastrzega się stanowczo, iż jeśli już ta gospodarka ma w rezerwatach istnieć, to w każdym razie myśliwym powierzyć jej nie można, ze słów tych wynika, iż Autor uważałby za rzecz wręcz niebezpieczną, choćby myśliwi nie wiem jakie gwarancje współpracy łowiectwa z ochroną przyrody dawali. Do sprawy gospodarki łowieckiej i jej konieczności powrócę za chwilę, tu zaznaczyć muszę, iż pogląd ten, tak ze stanowiska myśliwego, jak i przyrodnika, wydaje mi się niezrozumiały. Już red. Garczyński w swoim artykule wspomniał o roli i zasługach „myśliwych-ochro-

niarzy" tej miary, co np. Karol ks. Radziwiłł i szereg innych jednostek, nieznanych szerokiemu ogółowi, dzięki którym wymierający łoś ma zapewniony byt, a może i dalszy rozwój na dziesiątki lat u nas w Polsce. To samo można powiedzieć o iluż rewirach Małopolski w odniesieniu do jelenia, a może bardziej jeszcze do niedźwiedzia, który, będąc przed wojną na wymarciu niemal, dzięki pieczołowitej opiece kilkunastu właścicieli wielkich karpackich obwodów łowieckich i r o z u m n e j dalszej, szerszej opiece i g o s p o d a r c e ł o w i e c k i e j, — tak się rozmnożył, iż można również wróżyć dobrą przyszłość utrzymaniu się tego króla naszych Karpat.



Barć na sośnie. Fot. J. W. Krauze.

Nawiązując do sprawy gospodarki łowieckiej w rezerwatach i niemożności powierzania jej myśliwym, a conajmniej dania im, jako najbliżej tych zagadnień praktycznie stojących, w gospodarce tej udziału obok teoretyków - przyrodników, niech mi wolno będzie przytoczyć przykład tego, co uczyniła i czyni ochrona przyrody w rezerwatach, pozostawionych wyłącznie jej opiece bez współudziału świata łowieckiego. Mam tu na myśli t. zw. państwo Zakopane, własność fundacji kórnickiej, obejmujące znaczną część mającego się utworzyć parku narodowego polskiej i czeskiej strony strony Tatr. Lasy fundacji, na których prowadzi się dziś „gospodarkę łowiecką", stanowią, jako kompleks łowiecki, przestrzeń, jak na nasze stosunki małopolskie olbrzymią, bo przestrzeń blisko 6.000 ha. Bezsprzecznie dokonał zarząd fundacji wiele, jeśli porównany stan, w jakim zastał zwierzostan w chwili objęcia zarządu fundacji; stan ten był podobno opłakany. Ale czy nawet dla przeciętnego myśliwego - hodowcy można nazwać normalnym stosunek 21 byków do 47 łań, jak to ma miejsce w jednym z obwodów łowieckich? Czy do pomyślenia w normalnie zagospodarowanym przez przeciętnego myśliwego rewirze jest fakt istnienia w tymże obwodzie i w tej liczbie kilkunastu mylników i wsteczników? Przypuszczam, iż podobne degeneracyjne zjawiska możnaby zaobserwować pośród sarn, a może i pośród kozic. To samo odnosi się do rybactwa i stanu ryb w potokach, należących do fundacji. Pójdę jednak dalej. To, czego się dzisiaj z taką troskliwością w lasach zakopiańskich strzeże, nie jest wcale „zachowaniem przyrody w postaci niezmienionej!" (prof. Domaniewski, „Łowiec Polski" str. 138/32). Wszak jeszcze starzy górale opowiadają o licznych wilkach za czasów bar. Homolacsów, dawnych właścicieli Zakopanego, którzy, z bliżej nieznanych powodów, mieli podobno zgładzić przy pomocy trutek wszystkie wilki w ciągu paru zim, a za niemi orły (a może i sępy), gnieżdżące się jeszcze w zeszłem stuleciu w Tatrach. Czy jeleń, tak troskliwie chroniony w tym rezerwacie, jest naprawdę endemicznym jeleniem tatrzańskim, skoro wiemy, iż dzięki niefortunnej krzyżówce, zastosowanej przez ks. Hohenlohego, po południowej stronie Tatr, po imporcie jelenia Wapiti z Ameryki, jeleń tatrzański znacznie odbiega od jelenia karpackiego, tak pod względem poroża, jak nawet właściwości biologicznych (inna pora rykowiska i t. p.)?

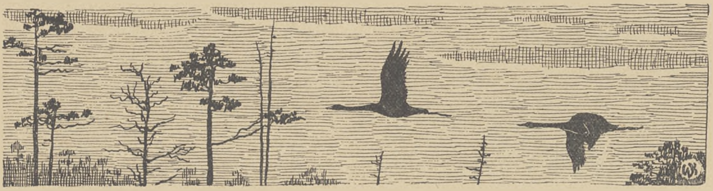
Jaka jest przyczyna tego stanu rzeczy, bo przecie o d o b r e j w o l i, o n a j l e p s z y c h c h ę c i a c h ludzi, zajmujących się rezerwatem tatrzańskim wątpić nie można, wątpić nie wolno? Upatruję jej w czem innem: w tem, że twórcy parku, jak większość ludzi z obozu ochrony przyrody zapominają o tem, iż to, co mamy dziś, w Tatrach, jak podniósł to nie - przyrodnik mec. Garczyński, n i e j e s t t e m, c z e m k i e d y ś b y ł o, niema tu tej wolnej gry sił przyrody. Jeśli prof. Domaniewski pragnie stworzyć takie warunki, „by w pierwotnej, przepięknej głuszy gór jelenie tak, jak im sądzone od wieków, walczyły o byt", musi to pozostać pium desiderium i dziwić się wypada, by tak wytrawny przyrodnik, jak prof. Domaniewski mógł w to wierzyć, że na obszarze choćby tak znacznym, jak Tatry, dadzą się stworzyć warunki, o których pisze. Tych warunków nie stworzymy dziś, tak, jak nie usuniemy człowieka z gór, które w jego rozwoju stały się taką życiową potrzebą, jak słońce, czy ciepło. Jeśli wolno w przedłużającym się ponad miarę artykule jeszcze przykładem słowa niniejsze udowodnić, to rzut oka na trawę Hali Pysznej, łamiącą się i gnijącą przy niekoszeniu, a więc przy pozostawieniu jej samej sobie, może być dostatecznym przykładem, że nawet flora nie ma tam dziś pełnej gry czynników biologicznych. Tak samo w odniesieniu do większych naszych zwierząt łownych, przy coraz silniejszej ingerencji człowieka, brakować będzie zawsze odpowiedniej ilości żbików, rysi, czy niedźwiedzi. Tem większa jest konieczność ingerencji człowieka, by tę brakującą grę żywiołów wyrównać i uzupełnić w postaci g o s p o d a r k i ł o w i e c k i e j, u m i e j ę t n e g o, f a c h o w e g o w k r a c z a n i a w b i o l o g j ę z w i e r z ą t, ale nie drogą, którą, jako bezwzględnie łatwiejszą, idą nasze czynniki

urzędowe, drogą tylko rozporządzeń i kar administracyjnych, lecz tem wkraczaniem za pośrednictwem myśliwych pod kierunkiem teoretycznych wskazówek ludzi nauki*). Inaczej zejdziemy rychło z niedźwiedziem, łosiem, a może nawet i z jeleniem na ten „ostatni szaniec, na tę ostatnią linję ochronną rezerwatów", gdzieśmy już zeszli z żubrem, a dokąd jeśli dobrze rozumiem, chce już prof. Domaniewski zejść z niedźwiedziem, jeleniem i żbikiem.

*) Tu leży istota zagadnienia, tak znakomicie przez Sz. Autora sprecyzowanego. — Przyp. Red.

Reasumując moje uwagi, wyrażam przekonanie, że po artykułach obu obozów nie może być wątpliwości co do wspólności celów, do jakich, przyrodnicy i myśliwi, dążymy. Tak samo wydaje mi się, że świat łowiecki przez pióro red. Garczyńskiego jasno się wypowiedział co do dalszej, chętnej i celowej współpracy na polu ochrony przyrody. Czas teraz na drugą stronę!

KAZIMIERZ WODZICKI.



# ŁOWIECTWO NA LITWIE.

Niejeden zapewne z Czytelników wyobraża sobie Litwę, jako „puszcz przepastnych krainę", w której „matecznikach" kryją się zwierząt „imperatory" ze swymi „ministrami", a myśliwy, krążący po tych kniejach, „zna je ledwie po wierzchu... lecz obce mu ich wnętrzne serca tajemnice", bo „wieść tylko, albo bajka wie, co się w nich dzieje". Niestety, jakże dalekie są dzisiejsze ostępy litewskie od tych mickiewiczowskich obrazów, jakże inna zamieszkuje je dziś zwierzyna! Nawet ci „szlachetni wasale", jak dziki, wilki i łosie-rogale, — należą już tam niemal do przeszłości.

Lasy przedwojennej Litwy w istocie przedstawiały się dość imponująco i pokrywały znaczne połacie kraju. Ale oto nadszedł rok 1915 i okupacja niemiecka. Nieubłagana siekiera rozpoczęła swe żniwo. Padały odwieczne drzewa, by zasłać sobą błotniste drogi, niknęły w oczach lasy, lecz za to mnożyły się wagony, ciągnące sznurem w stronę Niemiec, uwożąc z Litwy budulec, deski i kopalniaki. Tam, gdzie uprzednio stuletnie bory śpiewały w wietrze tajemnicze hymny, — powstawały brzydkie poręby, upstrzone zrzadka pojedyńczemi, krzywemi drzewami, które, jako do niczego już nie przydatne, ominęła siekiera. Gospodarka niemiecka okropnie przerzedziła mateczniki litewskie, a reszty dokonał rząd młodego państwa w pierwszych latach swego istnienia, kiedy to lasy, jako jedyne bogactwo naturalne Litwy, dostarczały pieniędzy na wszelkie wydatki państwowe. Dzisiejsze lasy nie przypominają już wcale dawnych puszcz, a trzebione rok rocznie, maleją, coraz bardziej ustępując miejsca porębom, lub w najlepszym razie polom uprawnym.

Z zanikiem puszcz, ubywała i grubsza zwierzyna, nie znajdując w obecnych kniejach litewskich odpowiednich do życia warunków. A drugą przyczyną, która niemal zupełnie wyniszczyła okazalszego zwierza, było kłusownictwo. Władze litewskie, tworząc organizację wojskową strzelców (szaulisów), wydały wszystkim jej członkom karabiny i amunicję. Odtąd lasy dosłownie zapełniły się amatorami polowania. A że wszelka grubsza zwierzyna, przedstawiająca sobą większy cel, bardziej się nadawała do tych łowów, przeto liczba jej gwałtownie poczęła się zmniejszać, a kłusownictwo ogarnęło kraj szeroką falą, zagrażającą już nietylko zwierzynie, ale i tym wszystkim, którzy pragnęli jej bronić. Wówczas dopiero rząd litewski wydał w roku 1922 ustawę łowiecką i rybacką, które wysokiemi karami zahamowały szalejącą dotychczas anarchję.

Lecz akcja ta była już bardzo spóźniona. Ilość grubszej zwierzyny zmalała tak strasznie, iż chcąc jakoś te resztki ocalić, potrzeba było wprowadzić dla wielu gatunków całkowitą nawet ochronę. Przy końcu tego artykułu przytoczę terminy ochronne litewskiej ustawy łowieckiej, z których Czytelnicy doskonale będą mogli ocenić grozę położenia tamtejszych zwierzostanów. Niedźwiedzie, rysie i bobry należą do zwierząt, całkowicie już wytępionych. O jeleniach wspomina wprawdzie ustawa, lecz o istnieniu ich na terenie obecnej Litwy nigdy nie słyszałem. Łosie trzymają się w niewielkiej ilości bagnistych lasów na pograniczu polskiem, w częściach należących do Litwy okręgów Olkienickiego i Orańskiego, oraz w pobliżu granicy pruskiej. Według zdań litewskich myśliwych, jest ich ogółem około dwudziestu sztuk. Dziki też są dość rzadkie, jak również i sarny, występujące liczniej jedynie w litewskiej części daw-

nej Suwalszczyzny. Sporo jest natomiast wilków, spotykanych w całym kraju i to nawet licznie.

O ile ilość grubego zwierza na ziemiach litewskich jest już znikoma, o tyle drobna zwierzyna rozmnożyła się bardzo. Okupacja niemiecka oczyściła dosłownie tamtejszych myśliwych z wszelkiej broni. Po wyjściu Niemców i napływie mas bolszewickich posiadanie jakiejkolwiek strzelby karane było śmiercią. Ale nadszedł rok 1920 i sromotny odwrót czerwonych hord. Uciekający żołnierze sprzedawali karabiny za kilo chleba. Wówczas każdy dwór zaopatrzył się w kilka sztuk tej broni i odtąd zaczęto jej używać do wszelkich polowań, nawet na ptactwo. Byliśmy poprostu do tego zmuszeni. Jeżeli bowiem ktoś zdołał dotąd przechować śrutówkę, to nie można było nigdzie dostać śrutu, a co główniejsze — prochu. To też karabiny wojskowe stały się wyłączną bronią myśliwską. Obfitość amunicji, znajdowanej niemal codziennie po lasach i rowach przydrożnych, dawała możność wprawiania się w celnem strzelaniu, to też zabicie zająca w biegu nie przedstawiało zbytniej trudności, a znałem nawet starego raubszyca zaściankowego, który trafiał z karabinu w zrywającą się do lotu kaczkę. Naturalnie nie każdy doszedł do takiej wprawy, to też naogół wszelkie łowy przeważnie istnieniu drobnej zwierzyny nie zagrażały, rozwijała się zatem znakomicie, a, przy zastosowaniu specjalnej hodowli, osiągnąć można było wprost nadzwyczajne wyniki.

Zapewniwszy zwierzynie u siebie w majątku (powiat wiłkomirski), na terenie parku absolutny spokój, doczekałem się bajecznych wprost rezultatów. Oto przyjeżdżający do nas w zimie goście zachwycali się stadkiem kuropatw, żerujących najspokojniej w świecie na trawniku, o kilkanaście kroków przed gankiem. Rok rocznie w parku tokowało kilka cietrzewi, lecz cieciorki, pomimo, iż często się tu zjawiały — bały się jednak słać gniazd w tak bliskiem sąsiedztwie ludzi. Ale największą satysfakcję sprawiały mi cyranki i kokoszki wodne, gnieżdżące się stale na stawku, okolonym gęstym pierścieniem trzcin i tataraku i odległym zaledwie o kilkadziesiąt metrów od zabudowań gospodarskich. Ptaki te pływały spokojnie, pomimo ustawicznego krążenia ludzi dookoła, nie wiele sobie robiąc z tego sąsiedztwa. I kiedy zmuszony zostałem sprzedać swą posiadłość i wyjechać z Litwy na zawsze — nie smuciłem się z powodu ponoszonych strat materjalnych, nie żałowałem nawet domu, tyle dla mnie miłych posiadającego wspomnień; żal mi było tylko mojej zwierzyny.

Zające - szaraki, kuropatwy i sietrzewie spotyka się na ziemiach obecnej Litwy w znacznych ilościach. Natomiast zające - bielaki, trafiają się zaledwie w paru północnych powiatach, należą do rzadkości. Pospolitsze są pardwy, występujące wzdłuż pogranicza łotewskiego, a zwłaszcza w powiecie jeziorowskim, oraz na słynnej Szepecie, opiewanej przez Weyssenhoffa w „Sobolu i pannie". Co się tyczy jarząbków i głuszców, — to spotyka się je w większych kompleksach leśnych, nigdzie nie występują one jednak zbyt licznie. Piękne tokowiska głuszcowe znajdowały się w majątku Wojewodziszki, w pobliżu stacji kolejowej Uciana, powiatu wiłkomirskiego, gdzie corocznie w czasie toków grało do dwudziestu kogutów, co na stosunki litewskie było rekordem. Czy i obecnie stan taki tam istnieje, — nie wiem.

Litwa, jak kraina, zawierająca dużo jezior i moczarów, posiada obfitość zwierzyny wodnej i błotnej. Przypominam sobie, jak w czasie ostatniego mego pobytu w tamtych stronach, widziałem olbrzymie stada kaczek, ale też byłem świadkiem sceny, gdy chłopi bili kijami z łodzi stadka kłapaczy kaczych, spotykanych w ogromnych ilościach na bagniskach i jeziorach. Pomimo tego jednak, liczba kaczek stale wzrasta.

W związku ze zwiększaniem się ilości drobnej zwierzyny, wzrasta ilość drapieżników, zwłaszcza lisów, których jest na Litwie dość dużo. Jadąc w zimie sankami przez pola, prawie zawsze spotykałem się z tym rudym rabusiem, bezczelnie nieraz przyglądającym się człowiekowi z odległości kilkudziesięciu kroków. Coprawda najczęściej wówczas bywał ukarany za swą nieostrożność, a o ile uszedł z życiem — stawał się już mądrzejszym i tak blisko do siebie człowieka więcej nie dopuszczał.



Z rykowiska. Spienione wody wartkiej Świcy.
Fot. Wł. Wal. Barański.

Jak już wspominałem, znaczna ilość broni kulowej, rozsiana po wsiach i folwarkach, dla drobnej zwierzyny wielkiego niebezpieczeństwa nie przedstawia. Natomiast zarejestrowanych myśliwych, polujących legalnie, posiada Litwa stosunkowo niewielu, dzięki dużym trudnościom przy uzyskiwaniu kart łowieckich, zwłaszcza przez Polaków. A że dwory są przeważnie w ręku tych ostatnich, więc zwierzyna ma tam względny spokój, co wyśmienicie przyczynia się do jej pomyślnego rozmnażania. Upaństwowienie znacznej ilości lasów prywatnych, liczących więcej, niż 25 ha., a tem samem zamknięcie na ich terenie polowania dla osób do tego niepowołanych, także sprzyja rozwojowi litewskich zwierzostanów, to też gdy chodzi o drobną zwierzynę — ilość jej z każdym rokiem wzrasta.

Na zakończenie pragnę wspomnieć o litewskiej ustawie łowieckiej. Ustawa ta, aczkolwiek w czasie, gdy się ukazywała, była zbawiennym środkiem na panujące wówczas stosunki łowieckie (1919 r. —

1922 r.) i częściowo poskromiła szalejące kłusownictwo, — to jednak dla późniejszych i obecnych warunków jest ona nieodpowiednia, a może nawet szkodliwa. Dziś bowiem, gdy istnienie wielu gatunków zwierząt jest już bardzo zagrożone, — jedynie opieka myśliwych — ziemian mogłaby je Litwie przywrócić. Tymczasem wspomniana ustawa zamyka polowanie na te zwierzęta całkowicie. Skutki takiego zarządzenia były już widoczne. Zaledwie bardzo znikoma ilość naprawdę ideowych myśliwych opiekowała się zwierzyną i łożyła na ten cel środki pieniężne. Reszta, pozbawiona przyjemności polowania, będącego w tym wypadku rekompensatą za poniesione trudy i wydatki, przestała się swemi zwierzostanami zupełnie interesować, a ustawodawcy osiągnęli przez to odwrotny skutek. Bowiem ilość szlachetnej zwierzyny bynajmniej się nie zwiększyła, a raczej zaczęła szybko upadać.

Na usprawiedliwienie tamtejszych ziemian, muszę dodać, iż hodowla, a przedewszystkiem walka z kłusownictwem — jest na Litwie znacznie trudniejsza, niż u nas w Polsce. Kłusownik litewski — to chłop, uzbrojony w doskonały karabin, oprócz tego często jeszcze i w rewolwer, więc ująć go żywego niepodobna, a nierzadko bywa to i członek związku szaulisów, którego zabicie lub chociażby zranienie pociągnęłoby za sobą głośny i niemiły w swych następstwach proces o podłożu politycznem. Nic też dziwnego, że nie każdy chce się narażać na podobne nieprzyjemności dla jakiegoś tam kozła, czy głuszca, zwłaszcza, że i tak samemu zabić ich nie wolno, podlegają one bowiem całkowitej ochronie.

To też odnośne władze litewskie zrozumiały ten krzyczący błąd ustawy i wprowadziły wydawanie zezwoleń na odstrzał pewnych zwierząt łownych, objętych ochroną. Zmiana ta odrazu dała pomyślne wyniki i rzeczywiście przyczyni się do podniesienia stanu szlachetnej zwierzyny. Są jeszcze i inne usterki w tej ustawie, lecz już o nich wspominać nie będę. Przytoczę natomiast wykaz terminów ochronnych, a Czytelnicy sami będą mieli możność ocenienia ich i należytego skrytykowania.

W myśl tej ustawy niewolno polować przez cały rok na: łosie, jelenie, sarny i głuszce (zarówno samice i młode, jak też i samce), na inne zaś gatunki zwierzyny obowiązują następujące terminy ochronne: borsuki od 1 grudnia do 1 września, zające (bielaki i szaraki) od 15 lutego do 15 września, dziki od 1 stycznia do 1 czerwca, cietrzewie-koguty od 15 maja do 1 września, cietrzewie-kury i młode od 1 marca do 1 września, to samo pardwy, słonki od 15 maja do 1 września, kaczki, bekasy, kurki wodne, łyski, nury, żórawie od 1 marca do 15 lipca, drozdy i derkacze od 15 kwietnia do 1 sierpnia, kuropatwy od 15 grudnia do 1 kwietnia, przepiórki od 1 lutego do 1 sierpnia, kaczory od 15 maja do 15 lipca. Inne zwierzęta i ptaki nie posiadają terminów ochronnych. Jak widać, terminy te są nieraz zupełnie nieodpowiednie, to też bardzoby się przydała nowelizacja litewskiej ustawy łowieckiej.

LEOPOLD PAC-POMARNACKI.



# WYPRAWA NA GOTURA *).

Gdyby ktoś na podstawie zamieszczonych poniżej zdjęć miał odpowiedzieć na pytanie co do czasu i terenu wyprawy, mógłby słusznie wnioskować, że odbyła się wśród głębokiej zimy, — w północnej Kanadzie albo na Alasce.

Otóż nie! Zdjęcia dotyczą wyprawy na głuszca w dniach 27 i 28 kwietnia roku ubiegłego, na najwyższy szczyt Bieszczad Skolskich, Magórę (1365 m.), teren, mający (oprócz śniegu) tyle tylko podobieństwa z północną Kanadą lub Alaską, że gdy tam używają do zaprzęgu psów zwanych „husky", u nas po drodze spotyka się także „husky" (gęsi po rusku), które nie nadają się jednak do zaprzęgu.

Przed godziną 4-tą po południu znajduję się u stóp Magóry, skąd na górskim koniku powoli posuwam się ścieżką pod górę, w towarzystwie podleśniczego, starego gajowego Fedora i chłopaków, niosących rzeczy do koleby.

Z początku jakoś idzie. Konik, przyzwyczajony do górskich chodów, idzie sam w zakosy, umiejętnie wymijając lód, który gdzieniegdzie część ścieżki pokrywa.

Gorzej bywa w miejscach, gdzie cała ścieżka pokryta jest lodem. Konik na tylne nogi nie jest podkuty. — Kawalerję ratują chłopcy - piechociarze, podpierając

*) Taką nazwą ludność górska ochrzciła głuszca.

z obu stron zad koński. — Nie powiedziałbym jednak, że siedzi się bardzo pewnie na koniku, gdy się ma z jednej strony stromą ścianę, z drugiej silnie pochyłe zbocze, a pod sobą oparcie, które wygina się raz w lewo, to znowu w prawo.

Gdyby nie wrodzone lenistwo — możebym i zsiadł, ale trzymam się tej zasady, że lepiej choćby i w najgorszych warunkach siedzieć na koniu, niż samemu ślizgać się na gumowych podeszwach.



Fedor w poszukiwaniu głuszca. Fot. St. W. O.

Zsiadłem dopiero na przełęczy Łysaku, już bardzo wysoko, gdy koń, zapadając się, nie mógł przebrnąć progów śnieżnych, nieraz na metr lub półtora wysokich, ścielących się od czasu do czasu przed nami, na otwartych przestrzeniach. Konika odesłano zpowrotem.

Uzbrajam się w górski kij i jazda na wirch. — Narazie idzie to wcale dobrze, bez zapadania się. — Nawet tam, gdzie inni przedemną nurkują, przechodzę szczęśliwie po wierzchu, co zapewne zawdzięczam mojej piórkowej wadze (65 kg.). Procent zapadania się jest bardzo mały, na dwadzieścia kroków jedno „nurknięcie".

Gdyby tak było raniutko, przy podchodzie, — to jeszcze pół biedy.

Podleśniczy utrzymuje, że między świerkami będziemy się najczęściej zapadali. — Nie bardzo mnie tem pocieszył.

Zrywa się chłodny wiatr zachodni, horyzont pokrywa się ciężkiemi, ołowianemi chmurami, które pogody nie wróżą.

Wychodzimy na połoninę, pod Magórą. Teren, jak nie ten sam, całkiem zmieniony. Gdzie w zwykłych warunkach równina, obecnie wyrastają góry śniegu, układając się w poprzeczne pasma i zwały, jak bałwany morskie z grzywami o zawrotnej wysokości.

Gdzieniegdzie są tak wysokie, że zpośród nich zaledwie widać wierzchołki karłowatych świerków. — Mam wrażenie, że jesteśmy między lodowcami, w Alpach. — Trzeba tak manewrować w pochodzie, by się nie dostać pod liczne zwisy, które jak okapy w chacie sterczą nad próżnią. — Śnieg twardy i tak ubity, jak lodowiec.

Wschodzimy pod szczyt, na ostatni etap drogi, wiodącej do koleby, położonej wśród świerków. — Jest to najgorszy odcinek, kamienisty żleb, pokryty głębokim śniegiem.

Przy zapadaniu się, trzeba to tak zręcznie robić, by noga nie uwięzła wśród głazów. — Śnieg jest jednak tak głęboki, że o zgruntowaniu go niema mowy.

I ten odcinek pokonaliśmy bez wypadku, choć jeden po drugim nurkujemy w śniegu. — O godz. 7 wieczorem wstępujemy zmęczeni na schodki upragnionej koleby, gdzie powitał nas rozpalony w piecyku ogień. — Cały horyzont zachmurzony; świerkami miota wicher, wywołując ich syczący poszum. O zapadzie głuszców mowy niema przyszliśmy o godzinę za późno. — Cała nadzieja w zapewnieniu podleśniczego, który na kilku zapadach ustalił miejsca toków.

O drugiej w nocy, uzbrojeni w latarki, otoczeni szarą mgłą, wśród szumu świerków, miotanych od czasu do czasu atakami przechodzących wichrów, idziemy na teren goturowych toków.

W zwykłych warunkach bylibyśmy tam w kilkanaście minut, po tych jednak niebywałych pokładach śniegu, który co do ilości przewyższa conajmniej trzykrotnie tę, jaką przed dwoma laty, po ostrej zimie, tu zastałem, — pochód po runo układa się niebywale ciężko. — Gdzie otwarta przestrzeń, idziemy gładko po wierzchniej warstwie, lecz między świerkami, w lesie, zapadamy się i to bardzo głęboko.

Gdy jedna noga tonie, drugą trzeba się ratować, ale zdarza się, że i ta druga jeszcze głębiej wpadnie. wtedy wzywamy na pomoc górną połowę ciała: trzeba położyć się i powoli wysunąć z chłodnych objęć.



Koleba na Magórze. Fot. St. W. O.

Gdy ratującemu mnie raz Fedorowi tłumaczę, że na taki śnieg jestem za stary, przekroczywszy sześćdziesiątkę, śmieje się i powiada: „To wy szcze mołodyj, bo ja maju wże 76" — i gadaj tu z nim!

Nareszcie dobijamy szczęśliwie do lekko pochyłego stoku, przechodzącego w bardziej otwarte podyny (halawy), o rzadko rozsianych świerkach.

Po tym terenie trochę lepiej się idzie, ale za to jeśli się wpadnie, to już głęboko, najpłyciej po pas. — Posuwamy się ostrożnie, gdyż wedle zapewnienia podleśniczego dzieli nas od terenu toku zaledwie sto kroków. — Przystajemy i słuchamy — przytuleni do świerka. — Czasami zapada mgła, lecz przeciągający od czasu do czasu wicher przerzedza ją i przepędza.— Jest!... Słychać rytmiczne... żywiołowe uderzenia. Jeden odzywa się z lewej strony, tuż przed nami, w oddaleniu może stu kroków, drugi nieco dalej, z prawej. — Do tego duetu przyłącza się trzeci, za nami, głoszący wśród świerków, pod któremi przed chwilą przechodziliśmy.

Najgłośniej odzywa się przed nami ów z lewej, którego pierwszego słyszeliśmy. — Zwrotka za zwrotką wpada w ucho. — Wysuwam się naprzód, wyzyskując szlif. — Po paru krokach noga jedzie w dół, wydobywam się podczas szlifu, i jeszcze trzy razy wpadam, w końcu pod świerkiem wpadam gruntownie obiema nogami i tu już trwam w bezruchu, przytulając się do pnia, schowany do połowy w śniegu. — Za mną stoi już podleśniczy. — Szaro, — widać gałęzie pobliskich świerków. — Szukam oczyma i lustruję świerki z prawej strony. — Wtem wysuwa się przed moje oczy palec podleśniczego i wskazuje świerk po lewej stronie, zakryty częściowo przez bliżej, tuż przed nami stojące drzewo.

Zwrotka urywa się. Zaczyna padać deszcz. — Tylko pojedyńcze uderzenia dochodzą uszu. — Lustruję przez szkła wskazany przez podleśniczego świerk i w jego połowie tuż koło pnia, na wielkim konarze, przez przejrzyste gałęzie bliżej stojącego drzewa, chwytam w szkła charakterystyczny ruch otwierania wachlarza i widzę pomimo mgły — odcinającą się w szarem świetle — upragnioną sylwetkę.

Głuszec nagle urywa. Cisza!...

W tej chwili pada mój strzał, równocześnie uderza ciężko o całun śnieżny — zdobyty wśród wielkich trudów ptak — ogromiec, a spadaniu jego towarzyszy wielokrotne i rozgłośne echo toczącego się po wirchach strzału.

Pomimo tego gromu, który przerwał ciszę górskiej puszczy, głuszce dalej tokują. — Trwamy w bezruchu z pół godziny — wysłuchując jeszcze drugiego, którego zwrotka po zwrotce płynie w przestrzeń i bije rytmicznie, jak tętno żywej krwi. — Koło godziny czwartej dwa zjeżdżają z pobliskich świerków na dalszy tok wśród śnieżnych halaw.

Fedor wysuwa się powoli po głuszca, zapadając się raz po razu w głęboki śnieg. — Nareszcie go dochodzi, ale gdy w drodze powrotnej zapadł po ramiona, ratuje go podleśniczy — i obaj, od czasu do czasu wypoczywając, zbliżają się ku mnie.

W drodze powrotnej wyszukujemy twardszych pokładów, a wracając do koleby, płoszymy dalsze dwa głuszce, zjeżdżające ze świerków, wśród których przechodziliśmy w nocy.

Wobec mgły i deszczu, który na dobre się rozpadał, w obawie, że i twardsze pokłady pod jego działaniem rozmokną i droga powrotna będzie nazajutrz niemożliwa, z żalem skracam pobyt i postanawiam zaraz powrócić, jakkolwiek chciałem dla zdjęć jeszcze jeden dzień pozostać.

Po wypoczynku w kolebie, około godziny 12-tej wyruszamy w drogę powrotną. — Na połoninie pod Magórą zrobiłem ostatnie zdjęcia na taśmie filmowej, — nie mając już dalszej w zapasie. — Niestety wszystkich zdjęć dokonałem w niekorzystnym świetle, wśród deszczu i mgły. — W pochodzie słyszymy najwyraźniej tok. — Przystanęliśmy. W tej chwili zjeżdża z pobliskiego świerka na połoninie głuszec i jakby się chciał popisać — tokuje przed nami o godz. 12.30 na śniegu w oddaleniu co najwyżej 30 kroków. — Nie mam już filmu, by go zdjąć i kto wie, czy w życiu będę miał jeszcze tak dobrą sposobność.

Śnieg znacznie gorszy, ale po godzinie ciężkiego chodu — jesteśmy na przełęczy Łysaku, skąd już bez śniegu w szybkiem tempie schodzimy na dół.

I tak skończyła się moja „podbiegunowa" wyprawa na gotura.

Przez kilka dni spałem po kilkanaście godzin na dobę, śniąc o wielkich górach śnieżnych, wyrastających po równinach i połoninach górskich, które z trudem trzeba było zdobywać. — Także i apetyt rozwinął się w zastraszający sposób.



Kilkumetrowe pokłady śniegu na połoninie. Fot. St. W. O.

Do dalszych wspomnień przybyło po ostatnich doświadczeniach jeszcze jedno, że i nasze łagodne stoki Bieszczadzkie mogą w danych warunkach przemienić się w groźne i niebezpieczne przez swe śnieżne szaty — wirchy.

Znajomość terenu nie wystarcza wcale w walce z piętrzącemi się przeszkodami, trzeba mieć jeszcze obok siebie ludzi, którzy potrafią trudności pokonać, a przedewszystkiem — umiejętnie prowadzić.

Oprócz znakomitego przewodnika w osobie podleśniczego, należy do nich, po mimo 76 lat, stary Fedor, chociaż przyznał, że odkąd żyje, takich śniegów w górach nie pamięta.

ST. W. ORSKI.

# RABUSIE.

Każdemu chyba myśliwemu znany jest widok wałęsających się po lasach i polach kotów domowych; nie każdy jednak widzi w nich to, czem właściwie są dla drobniejszej łownej zwierzyny użytecznej oraz ptaków.

Iluż to myśliwych nie strzela do kotów, w mniemaniu, że przyczyni się chlubnie do ochrony tego tak pożytecznego, tylko myszy łowiącego zwierzątka domowego; a iluż znowu myśliwych nie strzela do spotkanego w łowisku kota może z obawy wypłoszenia kozła, na którego czatuje.

Każdy kot, chociaż tak przytulnie przymila się i ociera o nogi domowników lub mruczy za piecem, jest dla mniejszych ssaków oraz ptaków groźnym wrogiem.

Kot z natury jest drapieżnikiem, a żaden z nich nie wyprze się wrodzonych mu instynktów przy pierwszej nadarzającej się sposobności. A okazyj takich nie brak nigdy. Zaczyna się zazwyczaj wycieczką do ogrodu, później wędrówkami raz krótszemi, to znów dłuższemi, na najbliższe pola i tak coraz dalej, aż nareszcie kotkowi przestrzeń milszą się stanie od ciepłego zapiecka.

Niejeden obserwator kota, myszkującego w polu, cieszy się niepomeirnie, że kot niszczy w polu tyle szkodliwych dla rolnictwa gryzoniów i powątpiewa, czy zarzuty, stawiane kotom, są uzasadnione, nie zastanawia się jednak nad tem, co ten sam, pilnie w polu myszkujący kot zrobi z lęgiem młodych kuropatw lub młodym zajączkiem, na którego przypadkowo trafił, szukając tylko myszek.

Rzecz pewna, że po chwili zostają tylko piórka lub trochę turzycy, resztki, dające wymowne świadectwo o dopiero co rozegranej tragedji.

Dla tych właśnie powodów, kotów, wałęsających się po polach winno być jaknajmniej, nawet w latach, obfitujących w myszy.

Przypuszczenia, jakoby kot domowy był skutecznym sojusznikiem rolnika przeciw tak szkodliwym dla rolnictwa licznym myszom, jest błędnem.

Istnieją bowiem łowiska, w których wogóle niema kotów wałęsających się; w tych więc rewirach musiałaby ilość myszy dojść do niepomiernie wielkich rozmiarów, równających się klesce, która zniszczyłaby doszczętnie plony. Ale tak nie jest.

Ilość żyjących myszy w tych łowiskach, ubogich w koty, nie jest bynajmniej większą od ilości myszy tam, gdzie koty wałęsają się po polach.

Koty domowe nie są w stanie zapobiec powstawaniu klęski mysiej, a cóż dopiero zlikwidować jej po wybuchu; bo gdyby tak było, to koty w latach, ubogich w myszy, wytępiłyby je doszczętnie, likwidując temsamem cały ród mysi.

Nie udaje im się to, tak samo jak bezsilne są wobec szerzącej się „masówki mysiej". Myszy mnożą się do nieskończoności i mnożyłyby się „na złość" wszystkim kotom, gdyby nie położyła temu kresu sama przyroda, przez epidemje. A resztka myszy, która szczęśliwie przetrwa epidemje, zaledwie starczy dla zwierząt, żywiących się również po części myszami, jak dla myszołowów, sów, łasic i t. p.

Niewielu myśliwych zdaje sobie sprawę, ile mniej więcej kotów wałęsa się po ich łowiskach, a skoro przypuszczają, że liczbę tę w przybliżeniu znają, to dobrze zrobią, mnożąc ilość tę w dwój albo trójnasób, a wówczas ilość wałęsających się kotów będzie zbliżona do rzeczywistości. Myśliwi po części postępują błędnie, określając ilość kotów na podstawie zaobserwowanych egzemplarzy po rozpoczęciu się sezonu na kuropatwy. Zdarza się często, że o tej porze roku myśliwy nie zobaczy ani jednego kota w rewirze.

Najodpowiedniejszym czasem, w którym można obserwować największą ilość kotów, wałęsających się w łowisku jest wiosna — kwiecień, maj, względnie wczesne lato, tj. właśnie ten czas, który jest najważniejszym dla hodowli i ochrony zwierząt łownych.

Dość zasiąść wiosną lub latem, rano, o brzasku; lub wieczorem, po zachodzie słońca, niedaleko osiedla, by zobaczyć, jak wielka ilość kotów wychodzi na pola lub wraca po nocnych łowach. Najlepsza wówczas okazja zdziesiątkować tego szkodnika zapomocą flinty; a w wypadku, gdyby na tego rodzaju polowania, zbudzeni ze snu strzałami, poczciwi kmiotkowie nasi niechętnie patrzyli, to inny istnieje środek, ukrócić plagę tę bez hałasu, bez huku. Nieocenione wprost usługi oddaje myśliwemu w takich wypadkach cięty wyżeł, który z biegiem czasu nabędzie nadzwyczajnej wprost wprawy w wyszukiwaniu kotów. A gdy wpadnie na trop i dogoni, jeden dobry chwyt i bez hałasu o jednego niebezpiecznego rabusia jest mniej w łowisku. A poczciwa gosposia dziwi się, że jej myszołownej „Kici" niema; może wróci jutro, a może jeszcze dziś? — Niech wierzy!



Zachód słońca nad rozlewiskami Polesia. Fot. A. Dobrski.

Celem uchronienia się od tego, by kot wychodził w pole, miast pilnować i łowić myszy w osadzie, podcinają niektórzy kotom uszy — (jest to wprawdzie środek t. zw. „babski", ale być może bardzo skuteczny wszak „nihil sine causa"). Kot bowiem jest zwierzęciem, nielubiącem wilgoci, i obawiającem się ogromnie wody.

Podczas łowów musi kot przechodzić nieraz przez wysokie trawy, gęste koniczyny itp., zazwyczaj wilgotne od rosy.

Sterczące w normalnych warunkach uszy zabezpieczone są od dostania się do nich wody, a do uszu podciętych łatwo kapnie z traw rosa, czego koty nie lubią. Nie ręczę, że obcięcie uszu jest środkiem radykalnym, gdyż przekonałem się jak dotychczas o prawdziwości tego w jednym tylko wypadku. Kot ten z podciętemi uszami od lasu, ani w pole wogóle nie wychodził, pomimo, że wychowywał się w leśniczówce, położonej wśród pól, niedaleko lasu.

Również cięty jamnik może być pomocnym w tępieniu kotów. Polując z jamnikiem na koty, trzeba zazwyczaj użyć broni, gdyż jamnik na krótkich swych, krzywych nóżkach zazwyczaj nie dogoni szybszego od siebie kota; kot uchodzi na najbliższe drzewo, skąd go nie trudno odstrzelić. Dla młodego jamnika polowanie tego rodzaju jest dobrą szkołą, wyrabiającą w nim ciętość.

Polowanie na koty za pomocą psów nie zawsze jednak kończy się pomyślnie, a może nawet czasami mieć następstwa dość przykre.

Wypadek, o którym poniżej wspomnę, niech nie odstraszy myśliwych od szczucia psem każdego spotkanego w łowisku kota, gdyż na tragiczne zakończenie tego epizodu złożyły się specjalne okoliczności.

Otóż wilczur pasterza, pasącego owce na rozległych polach, zobaczył w oddali myszkującego kota, za którym puścił się w pogoń. Kot, uciekając w wielkich susach, usiłował ratować życie. Odległość między kotem i psem stawała się coraz krótsza. Kot, nie widząc innego ratunku przed grożącem mu niebezpieczeństwem, ostatkami sił skacze na głowę wystraszonego nagłym atakiem pasterza, wpijając się kurczowo pazurami w twarz.

Na krzyk pasterza przybiegli pracujący w polu ludzie, którzy z niemałym wysiłkiem uwolnili go od pazurów rozszalałego kota. Pasterz przez długi czas leczył zadane mu przez kota rany, które się bardzo trudno goiły, pozostawiając głębokie na twarzy blizny.

Jak już wspomniałem powyżej, najskuteczniej na wiosnę przeciwdziałać inwazji kotów na łowiska. Latem i z początkiem jesieni znikają one stopniowo z pól. Od września, października począwszy — należą na polach nawet do rzadkości.

Czemu to przypisać? Czy nie zależy im więcej na myszach?

Pola późnem latem i jesienią tracą dużo swego magnetyzmu dla kotów, tak, że mimowoli nasuwa się przypuszczenie, iż nie dla myszy koty odwiedzają pola, lecz niedołężne pisklęta kuropatw i innych ptaków, gnieżdżących się na ziemi, oraz młode zajączki — są tym magnesem, który przyciąga koty i budzi u drapieżników tych krwiożerczy instynkt.

Możemy rozróżnić wśród kotów — włóczęgów trzy rodzaje.

Pierwsze to te, które, codziennie, wychodząc wieczorem w pole, wracają nad ranem do ciepłego zapiecka; dalej takie, które pozostają dłuższy czas na polach, wracając do osad ludzkich dopiero jesienią, tj. wówczas, gdy pola pustoszeją. A trzecia kategorja, najgorsza, to te koty, które do osad wogóle nie wracają, bądź to dlatego, że w polu im lepiej, bądź też dlatego, że urodziły się w polu lub w lesie.

Kota zdziczałego, o ile posiada on ubarwienie, podobne do żbika, co się często zdarza, trudno odróżnić od tego ostatniego. Często bardzo toczą się spory na temat, czy ubity kot jest prawdziwym żbikiem, czy też tylko kotem zdziczałym, wyrosłym na wolności, lub też potomkiem żbika i kota domowego. Krzyżowanie tych ostatnich bardzo często się zdarza, i to przypuszczalnie w większej ilości wypadków żbika z samicą kota domowego.

Niektórzy zoologowie chcą odróżnić żbika po czarnej, okrągłej plamie pod podeszwą. Choć plama taka ułatwić może w znacznej mierze rozróżnienie żbika i kota zdziczałego, to jednak nie będzie ona nigdy wskaźnikiem zupełnie pewnym, i tak zaobserwowano istnienie plamy tej u wszystkich niemal kotów, pochodzących z krzyżówki żbika z kotem domowym.

Koty, u których istnieje plama podeszwowa, nie koniecznie muszą pochodzić z bezpośredniej krzyżówki, lecz istnienie plamy może być wpływem poprzedniej domieszki krwi żbików (kilka pokoleń wstecz).

By bezapelacyjnie móc dobrze odróżnić żbika od zdziczałego kota domowego, trzeba dużo wprawy, a nawet trzeba być specjalistą. Zasadniczo należy zwrócić uwagę na budowę całego korpusu, który jest zwięzły i grubszy oraz na ogon, u żbika krótszy i grubszy, niezwężający się ku końcowi.

Reasumując powyższe, należy stwierdzić, że koty należą do rabusiów łowiska. Kto spostrzeże kota w polu i nie stara się go unieszkodliwić, ten działa krótkowzrocznie i niczem postępowania swego nie może usprawiedliwić.

Kto więc chce skorzystać dla dobra łowiska i zwierzyny ze wskazówek, w powyższym artykule zawartych, ten niech nie czeka do czasu rozpoczęcia się polowań na kozły i kury, lecz już wcześniej, w marcu i kwietniu często dogląda i pilnie obserwuje swe łowiska, a przekona się o prawdziwości moich wywodów.

INŻ. LEON OSSOWSKI.



# Z POLOWAŃ W TURKIESTANIE.

Półroczny mój pobyt w Turkiestanie rosyjskim obfitował w liczne i ciekawe wydarzenia. Zamęt rewolucji sprawił, że z mych przyrodniczych i myśliwskich planów, na dość szeroką miarę zakrojonych, musiałem w znacznej mierze zrezygnować.

Polowanie oraz zbieranie okazów zoologicznych było celem mego pobytu w tym tak niezmiernie ciekawym kraju. Wspomnienia z mych polowań, spisane podczas powrotnej drogi do Europy, pozostały jedynym prawie owocem mego pobytu w Azji Środkowej. Poniżej opisane polowania miały miejsce przed wybuchem rewolucji, potem warunki już nie pozwoliły na dalsze wycieczki z bronią w ręku, jedynie możliwemi były wycieczki przyrodnicze, których pokaźne wyniki w zawierusze rewolucyjnej całkowicie zaginęły.

Polowanie na ptactwo wodne w Turkiestanie należało do częstych mych rozrywek. W okolicy Namanganu [1] na rozległych polach ryżowych spotkać było można wielką rozmaitość kaczek, które w błocie, pokrywającem te pola znajdowały obfite pożywienie. Polowanie na nie nie było jednak łatwem z powodu ich ostrożności, wyjątkowo tylko nadlatywały one na strzał. Łatwiej było je strzelać z ukrycia, z małych budek, skleconych z trzciny. Wówczas jednak nie zawsze było możliwem odnaleźć upolowaną kaczkę; spadała ona to w gąszcza trzcin, to w grząskie błoto pól ryżowych.

Po takiem polowaniu powracał człek do domu niemiłosiernie zabłocony, a co gorsze, cuchnący smrodliwem błotem.

Rezultaty tych polowań były zazwyczaj bardzo słabe, po półdniowej włóczędze trofeum stanowiła jedna lub dwie, rzadziej kilka kaczek. Dość często pojawiające się na tych polach białe czaple, pożądana zdobycz, nie dawały się na strzał podejść, ani też nie nadlatywały na budki. Pragnąc raz nastrzelać się do syta, postanowiliśmy, mój gospodarz, Polak, p. J. W., właściciel kopalni węgla nad rzeką Narynem [2], u którego przez kilka tygodni gościłem, sędzia Rosjanin i ja — wybrać się na przeloty nad tę rzekę. W słoneczny dzień lutego zebraliśmy się na stacji w Namanganie. Nim pociąg ruszył, towarzysze moi spotkali znajomych Sartów, jakoby poważne osobistości, wójtów czy sołtysów, coś w każdym razie z administracji tutejszej, naznaczonej z pośród tuziemców. Osoby znaczne, co było można zauważyć po szacunku, z jakim się różni Sarci do nich odnosili. Wsiedliśmy do wagonu wraz z owymi Sartami i kilku ich towarzyszami.

Na skinienie jednego z tych notablów, poważnego, tęgiego Sarta z wspaniałą czarną brodą, zbliżył się jeden z jego towarzyszy, który, po wysłuchaniu kilku słów z niskim ukłonem znikł z wagonu. Po chwili zjawia się ów Sart niosąc wielką, blaszaną, biało emaliowaną miednicę, kopiasto naładowaną dymiącym jeszcze piławem, za nim młody chłopak w pole barwnego chałata niesie kilkanaście placków pszennych i tyleż sporych granatów. To poczęstunek notabla, którym on nas w wagonie przyjmuje. Czem to wszystko jednak jeść — posiadamy jedynie noże — nie ma rady trzeba po sarcku, t. j. rękami, spożywać doskonały piław. Miednicę stawiają pomiędzy ławkami na kuferku, fundator łamie placki w kilkoro i kładzie je na pilawie. W piątkę, t. j. nasze towarzystwo myśliwych i dwu notablów Sartów, zabieramy się do jedzenia. Niewprawnemi palcami zagarniam garść ryżu, zrazu idzie to uniedolnie, lecz wprawy prędko się nabiera. Piław znika szybko, to przecież niespodziewany nasz obiad, któregośmy w domu prawie nie jedli w obawie spóźnienia się na pociąg, przychodzący i odchodzący, jak kto chce; nieraz jego odjazd przypadał na czas jego przyjazdu na stację. Warto tu wspomnieć o wagonach; widnieją na nich znane litery „W. W." (Kolej Warszawsko-Wiedeńska), tu je ewakuacja zagnała, a po przerobieniu ich na szeroki tor, wożą one gromady barwnie odzianych Sartów. Lecz jedzmy dalej; fundator wydobywa nożem z pod ryżu kawałki baraniny i układa je w oddzielne kupki, to nasze porcje. Zatłuszczone ręce wycieramy w chustki, Sarci poprostu obcierają je o cholewy, jest to praktyczny sposób smarowania swych butów.



Po przejściu „żydowskiej siekiery" Fot. J. W. Krauze.

Niedojedzony piław wędruje do innych Sartów, którzy się z nim prędko uwijają. Teraz czas na deser, każdy z nas otrzymuje po trzy granaty. Tak pożywiając się, przejechaliśmy spory kawał drogi, nasi towarzysze wysiedli na jakiejś małej stacyjce, pożegnawszy się z nami uroczyście, podawszy rękę i pogładziwszy sobie tradycyjnem ruchem brodę. Wraz z nimi opuścili wagon towarzyszący im Sarci, którzy, jak się potem dowiedziałem, byli względem nich tem, czem byli klijenci w stosunku do bogatych patrycjuszów rzymskich.

Lecz oto i na nas czas wysiadać. Wyładowujemy się z bronią, plecakami i zapasami na małej stacji. Tu czeka na nas wielka arba [3], którą mamy dojechać do domostwa znajomego Sarta u którego mamy nocować. Jedziemy wśród pól i ogrodów, wreszcie wjeżdżamy do sporego kiszłaku, wsi. Na progu swego do-

[1] Namangan — miasto powiatowe w Ferganie (wschod. część Turkiestanu rosyjskiego).

[2] Naryn — rzeka w Ferganie, która po zlaniu się z Karadarją tworzy Syrdarję.

[3] arba — wielki dwukołowy wóz, powszechnie używany w Azji Środkowej.

mu wita nas nasz gospodarz, przystojny Sart z obfitą czarną brodą, po której łatwo poznać, że nie ma on w sobie krwi mongolskiej.

Rozlokowujemy się w wielkiej izbie, o glinianej podłodze, suto wysłanej wojłokami i dywanami, i, zdjąwszy obuwie, sadowimy się na miękkiem posłaniu; wkrótce przynoszą nam piław, pilmień (rodzaj kołdunów), placki i wódkę z owoców morwy pędzoną. Pomimo, że jest mahometaninem, gospodarz nasz nie gardzi alkoholem własnej fabrykacji. Ciekaw byłem jak się na tę fabrykację zapatruje monopol spirytusowy. Nie zastanawiam się nad tym problemem, grunt, że jedzenie dobre, a wódka możliwa, o resztę ani ja, ani moi towarzysze i nasz gospodarz — chwilowo nie dbamy. Na ożywionej rozmowie mych towarzyszy z gospodarzem, rozmowie, której nie rozumiem, czas szybko schodzi, oczy zaczynają się kleić, zawinąwszy się w koc zasypiam, ukołysany niezrozumiałemi mi jeszcze wówczas dźwiękami mowy tadżykskiej. Ze smacznego snu budzi mnie szarpanie za nogę, to Sart, mówiący nieco po rosyjsku, wzywa mnie i mych towarzyszy do wstawania, gdyż czas wymarszu na przelot ranny kaczek nad rzeką Narynem już się zbliża. Jeszcze ciemno, niema się gdzie umyć, nie umytym, a tem bardziej nieogolonym iść na polowanie to podobno dobry omen. Wdziewam więc ciepły płaszcz, chłód jest bowiem przejmujący, składam mą dwudziestkę i obładowany ciężką torbą z ładunkami wychodzę z domu; tu znowu czeka nas arba. W głębi arby spostrzegam jakieś ruchome przedmioty — to dzikie kaczki oswojone, zwykłe krzyżówki, które będą nam służyć za wabia dla prawdziwie dzikich ich krewniaczek; Sart koniecznie chciał je zabrać, mówiąc że bez nich polowanie się nie uda. Okazało się, że Sarci strzelają ze swych pistonówek do pływających kaczek, zwabionych przez oswojone kaczki, które pływają uwiązane za nogę sznurkiem do palika wbitego w brzeg.

W pomroce nocnej jedziemy trzęsieni niemiłosiernie po wyboistej drodze.

W dodatku ciasno nam we trzech w arbie, ledwie się ruszyć można, to też zazdroszczę Sartowi, jadącemu wygodnie na koniu, który nas ciągnie. Niestety droga dość daleka. Dobrze wytrzęsieni dojeżdżamy do jednego z ramion Narynu. Ledwo zaczyna świtać, opodal szumi rwąca, nieco wezbrana rzeka. Mamy przeprawić się arbą przez dość szerokie jej ramię, by dostać się na wyspę, na której mamy polować. Powoli wjeżdżamy w rzekę, woźnica kieruje konia skośnie wdół rzeki. Powoli posuwamy się naprzód, woda coraz wyżej sięga koniowi, już dosięgła brzucha, już fale biją go po bokach. Przyznać muszę, że dość niepewnie się wówczas czułem. Jedno potknięcie się szkapy, a bystry prąd zwali ją z nóg i wówczas może być po nas; przecież płynąć, tak ubrani jak jesteśmy, nie podołamy. Prąd wody wstrząsa arbą, woda prawie do naszego siedzenia sięga, przezornie więc podnoszę torbę z nabojami. Koń wszystkich sił dobywa, opierając się prądowi — i jakoś brniemy naprzód. Wreszcie, ku ogólnemu zadowoleniu wydostajemy się na brzeg. Jesteśmy na spornej wyspie, prawie zupełnie pozbawionej roślinności, jeśli się nie bierze pod uwagę nielicznych kęp tamarysków. Nad jednem zalewiskiem rzeki, otoczonem łachą piaszczystą, obieram stanowisko. U mych stóp, o parę metrów niżej pływają spokojnie nasze kaczki-wabie. Towarzysze moi polokowali się w różnych stronach wyspy o kilkaset metrów ode mnie. Nasz woźnica pozostał ze mną i koniecznie mnie namawiał, bym ukrył się w małym schronie nad łachą, skąd będę mógł z łatwością strzelać do zwabionych kaczek. Nie chcę się na to zgodzić i sadowię się wygodnie na wysokim brzegu, zwrócony twarzą w kierunku przelotu. Jasno już jest, na wschodzie różowa jutrzenka się wzmaga, opodal szumi wezbrana rzeka, słowem nastrojowo. W tem czuję trącanie w plecy — „urdak kelede", kaczki idą. Sart siedzący za memi plecami oznajmia, że przelot się zaczął. Pierwszy strzał pudło, po drugim o kilkadziesiąt kroków ode mnie wali się krzyżówka. Znów „urdak kelede", tym razem szum skrzydeł rozlega się jakby tuż nad głową, to cyranki, zbitem stadem niziutko ciągną.

Jak tu mierzyć w sztukę — zbyt blisko siebie lecą, przytem pęd ich jest szalony. Szybko po sobie rozlegają się dwa strzały i trzy cyranki bezwładnie spadają na ziemię. Następnie chwila przerwy, lecz oto jeden, dwa, trzy strzały szybko po sobie następują, to Browning mego ziomka przemówił. Sędzia też odzywa się z oddali, wszystkim nam zwierzyna dopisuje. Ziomek wali co się zowie, pięć strzałów daje pod rząd; i ja też mam dość roboty — to krzyżówki, to cyranki nadlatują ciągle. Sart wciąż powtarza swe „urdak kelede" a ja grzmocę, ile się da. Trwa to wszystko ze trzy kwadranse i już się ciąg skończył, tylko maruderzy pojedyńczo jeszcze ciągną. Zbieramy się razem na brzegu wraz ze zdobyczą naszą, pokaźnie się ona przedstawia, jak ją zmieścimy w arbie podczas przeprawy przez Naryn? Wtem sędzia wali raz po razu, kaczka spada nie na brzeg lecz do rzeki. Nie namyślając się długo rzuca sędzia broń, torbę, kurtę marynarską, ściąga buty i pędzi wzdłuż brzegu po drodze rzucając kamizelkę i koszulę, dopada niskiego brzegu, tu rozbiera się, do reszty i jak Adam wbiega w lodowatą wodę, z której z tryumfalną miną wynosi krzyżówkę. My w śmiech, a na rozgrzewkę dajemy mu dobrą frycówkę, popartą łykiem wódki z manierki. Zaiste widok był wspaniały, ten nowoczesny Adam, brnący w wartkim prądzie rzeki i wychodzący zeń, czerwony od zimna, pozostanie na zawsze w mej pamięci. Po tym incydencie ładujemy zdobycz i siebie na arbę i w przeciwnym kierunku przeprawiamy się przez ramię Narynu. Tym razem za dnia, przeprawa przez rzekę nie sprawiła tak niemiłego wrażenia, jak wśród nocy. Śpiesznie jedziemy do naszego gospodarza, po wczesnem wstaniu i chłodzie ranka śpieszno nam do kubka gorącej, zielonej herbaty i smacznych nun, placków, które niewidzialna dla mężczyzn gosposia sarcka wprost z pieca przez chłopaka nam prześle.

Posiliwszy się, po wielu salamalekach, gładzeniach brody i ukłonach w pas, udajemy się arbą na stację kolejową.

Dumni, obładowani zdobyczą, opuszczamy wagon na stacji w Namanganie.

Takie było moje ostatnie polowanie na kaczki na ciągach nad Narynem w Ferganie, w lutym 1917 roku.

Dr. JÓZEF FUDAKOWSKI.

# „KUROPATWIARZ" W REWIRZE.

Istnieje w Warszawie niewielkie Koło myśliwskie, składające się z kilkunastu członków, które w 1926 r. wydzierżawiło w powiecie mińsko - mazowieckim również niewielki teren, o przestrzeni 4500 morgów.

W chwili wydzierżawienia owego terenu, widziano na nim 3 (dosłownie) zające i kilkanaście kuropatw.

O 25 klm. szosą od Mińska, w stronę Stoczka łukowskiego, wynajęto pola, okolające dużą wieś kościelną, rozciągniętą wzdłuż szosy na znacznej przestrzeni, co nie należy do warunków, ułatwiających pilnowanie przed kłusownikami, sidlarzami i psami.

Znam mniej więcej p. p. członków owego Koła i niech mi wybaczyć zechcą, jeśli powiem, że „dyktatura" ich prezesa, bez współpracy zarządu i kolegów — członków okazała się doskonałą formą rządów dla zespołu myśliwskiego.

Podobno wszyscy tam muszą płacić „na rozkaz" i polować „wedle rozkazu" owego możnowładcy, który słynie w Warszawie z urządzania imprez łowieckich w rodzaju samotnych wyjazdów na kuropatewki, które również „na rozkaz" wkładają łebki do licznych troków pana „dyktatora" — prezesa, zachęcone do tej wątpliwej dla nich rozrywki śrutem z lichego Purdey'a.

Żaden jednak prawdziwy kuropatwiarz (Astur palumbarius) nie wygoli tak terenu, jak ten warszawski, ale żaden nie potrafi tak strzec swoich rewirów przed łapczywem okiem innych palumbariusów bezskrzydłych, a nie mniej dla kuropatw niebezpiecznych. A gdy się skądś taki nawinie, to go „dyktator" na teren nie puszcza i basta.

Gdy więc ten niełowny „asturek" upodobał sobie terenik, zaczął myśleć o rozmnażaniu zwierzyny i jak to mówią „pokazał sztukę".

W sezonie myśliwskim 1927 r. zabito już na tem bardzo jeszcze słabem gospodarstwie 60 kuropatw i w dwóch polowaniach — 106 zajęcy.

W lutym tegoż roku sprowadzono i puszczono 10 zajęczyc.

Katastrofalna zima 1928 r. nie pozwoliła na wystrzelanie tego, co można już było wystrzelać: zresztą zapewne w przewidywaniu znacznych strat ograniczono ilość, wobec czego na pokocie po dwóch polowaniach leżało: 71 zajęcy i 273 kuropatwy.

I znów puszczono 10 samic zajęczych.

Rok 1929 przy ograniczonej ilości kuropatw dla każdego z myśliwych dał w rezultacie 441 kur i po dwóch dniach polowania 126 zajęcy.

Rok 1930 o tyle już był mocny w pospodarce, że dał 220 zajęcy i 678 kuropatw, w 1931 roku, pomimo zwiększenia przestrzeni przez wydzierżawienie sąsiedniej wioski o powierzchni 1000 mrg., wskutek ogólnenie słabszego stanu zabito tylko 193 zające, zato kuropatw — 930.

Cała ta przestrzeń podzielona jest na trzy rewiry, które obsługuje tyluż strażników zaprzysiężonych, a między nimi — oczywiście — i dawny najniebezpieczniejszy kłusownik, — Kowalski.

Na tym przykładzie można doskonale przekonać się o słuszności twierdzenia, uznającego kłusowników za najodpowiedniejszy materjał do pełnienia służby łowieckiej.

Tak więc przy odpowiedniem kierowaniu, w przeciągu kilku lat, można od trzech zajęcy dojść do 220, a poczynając od 60 kuropatw — pozwolić sobie na odstrzał tysiąca.

Okazuje się, że i „kuropatwiarz" jest ptaszkiem pożytecznym, szczególniej w społeczności myśliwskiej, która też, doceniając zasługi tego dzielnego drapieżnika, przyozdobiła mu popielate piersi Złotym Medalem, — honorową odznakę naszego Związku.

JERZY DYLEWSKI.

# BIAŁA JASKÓŁKA.

Było to już dawno, bardzo dawno, bo aż w 1873 r., kiedy byłem jeszcze uczniakiem II klasy gimnazjum Szawelskiego, w czasach straszliwego terroru moskiewskiego i rusyfikacji na Litwie, posuniętej aż do absurdu, bo wtedy nie wolno było nawet mówić po polsku na ulicy, nietylko uczniom, ale i wszystkim mieszkańcom. — Wyjątkowo jednakże w tym roku wskutek starań i osobistego poparcia księcia Bohdana Ogińskiego wobec cesarza Aleksandra II-go (był on jego synem) pierwszy raz po 63 r. pozwolono ziemianom urządzić wystawę rolniczą w Szawlach z prawem mówienia po polsku na terenie tej tylko wystawy. — Otóż przed tą wystawą, w tym pamiętnym dla mnie roku, jako trzynastoletni malec, miałem szczęście być posiadaczem wyjątkowo niezwykłego okazu żywego ptaka, co się kwalifikował do zademonstrowania go wystawie, ku mojej ambicji i chwale, że byłem jego właścicielem. — Ptakiem tym była piękna, śnieżysta bez skazy jaskółka — o rubinowych oczkach i różowych nóżkach. Niezwykły ten okaz pełnego albinizmu dostał się do mych rąk w następujący sposób: W domu vis á vis moich okien, po przeciwległej stronie ulicy zamieszkiwała jakaś rodzina żydowska. — Pewnego dnia, wśród lata, ze swego mieszkania ujrzałem niezwykłe widowisko: w rozwartem szeroko oknie naprzeciwko, stała mała żydóweczka i kołysała siedzącą na ręku białą jaskółkę. Dookoła zaś okna i domu w błyskawicznych ósemkach krążyły całe roje zwykłych jaskółek z piskiem i krzykiem przeraźliwym, zachowując się tak, jak to one zwykle czynią, dostrzegłszy kota lub innego drapieżnika. — Nie namyślając się, momentalnie wyskoczyłem oknem ze swego mieszkania na ulicę — i stanąłem przed małą Rebeką, mówiąc: „Oddaj mi tego białego ptaszka — ja ci za to kupię cukierków". Mała bez namysłu oddała mi jaskółkę z słowami: „Proszę paniczu, u nas w domu są koty i zjadłyby tego ptaszka, przed chwilą wleciał oknem i usiadł mi na ramieniu".

Jaskółka ku niezmiernemu zdziwieniu wszystkich, była jakby dawno oswojona i nie bała się wcale ludzi, a raczej tylko wszystkich ptaków, a głównie swoich sióstr czarnych. — Z posiadania tej jaskółki byłem wielce dumny, a wieść o tym fenomenie stała się głośną w całem mieście. Miałem ciągłe odwiedziny kolegów i znajomych, pożądane i nie pożądane w osobach srogich belfrów moskiewskich przed którymi trzeba było chować książki polskie i dzienniki, aby argusowe ich oczy nie wyśledziły, że je czytam może i że mieszkam u nieprawomyślnej rodziny, mówiącej tylko po polsku. — Ale wracam do mojej jaskółki; miła ptaszyna tak się oswoiła ze wszystkimi ludźmi i z całem otoczeniem, że swobodnie fruwała po całem mieszkaniu mojem i tych państwa, u których byłem na stancji. — Cały dzień boży łowiła owady, co wpadały przez często rozwarte drzwi i okna z ogrodu, a zawsze otwarte dla niej lufciki u okien. A gdy często, jak sądzę, brakło jej pożywienia w mieszkaniu, ośmielała się robić błyskawiczne wypady na szerszy świat Boży lufcikami, ale za chwilę znów wracała tąż drogą, przy pierwszym nieprzyjaznym okrzyku zwyczajnych jaskółek, lub wróbli. — Niestety, moja urocza ptaszyna nie doczekała się tej chwili, abym mógł się nią pochwalić i zaprezentować szerszemu ogółowi na wystawie i to z własnej winy mojej. — Któregoś dnia, z jakiego powodu — dziś nie pamiętam, tak się złożyło, że mnie samego i wszystkich domowników nawet służącej czas jakiś w domu nie było, a lufciki ze względu na koty były zawarte. Biedna ptaszyna, widocznie bardzo zgłodniała, szukając pożywienia, przedostała się do kuchni i tam zaczęła gospodarzyć, coś dłubać, czy łowić pod kapturem kuchennym i w straszliwy sposób powalała sadzami swą śnieżystą szatę. Jakby coś złego przeczuwając, pierwszy powróciłem do mieszkania i nie poznałem swej jaskółki, bo już była nie biała, ale czarna, brzydka, brudna. — W porywie głupiej, pierwszej irytacji, bez namysłu wsadziłem ją do miednicy z zimną wodą i zacząłem prać nielitościwie przy pomocy mydła i szczoteczki do zębów. Nieszczęśliwa ptaszyna trzęsła się jak w febrze — pierze jej posklejało się, nastroszyło, zżółkło i miała wygląd już nie śnieżnej jaskółki a straszydełka ptasiego. — Jak na złość, w tej porze nie było osób starszych i rozumniejszych, któreby mnie przekonały, że każdy ptak, czemś powalany, sam w ciągu jakiegoś czasu potrafi pierze swe oczyścić, bez pomocy mydła i szczotki. — Aby ją osuszyć po tej barbarzyńskiej kąpieli, wyniosłem ją przed dom na słońce. Zaczęła powoli obsychać, trzepotać skrzydełkami, ale była jakaś brzydka nieopodobna do dawnej śnieżysto-białej ptaszyny. Brudna, szaro-żółta istotka. — Chcąc się przekonać czy na tyle już jest wysuszona, aby mogła swobodnie latać, siedzącą mi na dłoni podrzuciłem w górę. Powolnym, chwiejnym, słabym lotem starała się wznieść w górę i dom okrążyć (może chcąc wlecieć jakim lufcikiem do mieszkania; wszystkie niestety były zamknięte). W tejże chwili rozległ się straszliwy pisk, krzyk jaskółek, które nie wiedzieć skąd pojawiły się nagle gromadnie i zaczęły ją prześladować, pędząc biedną jaskółkę w dal odemnie i domu, aż zginęła mi z oczu — na zawsze. — Stałem czas jakiś, jak osłupiały, w niemej rozpaczy, patrząc w tę stronę, gdzie zginęła biedna moja ptaszyna, aż w końcu zacząłem rwać włosy i wylewać potoki łez, nie mogąc sobie długo przebaczyć, iż z własnej winy poniosłem taką stratę.

Tak się smutnie zakończyły dzieje mojej jaskółki. W tem straszliwem zmartwieniu pocieszano mnie tylko tem, że wcześniej czy później musiałbym się z nią rozstać z nastąpieniem pierwszych chłodów jesiennych i zimy, gdyż nie byłoby jej czem żywić z braku owadów. — A była, niestety, ta anielsko-biała istotka niezmiernie żarłoczna i wiecznie głodna. — Po tem opowiadaniu o białej jaskółce zrodzi się w umyśle niejednego czytelnika uparte pytanie, czem wytłómaczyć, iż zwykłe jaskółki miały tak straszliwą nienawiść do swej białej siostrzycy? Chyba tem może, że bezwiedny instynkt czystości gatunku w ustalonym już kolorze upierzenia wrogo je uspasabiał do wszelkiego anormalnego zboczenia w barwie oczu i pierza tej przyrodnej ich siostry. Ta zaś wzajemnie instynktem samozachowawczym wiedziona, bała się tych wszystkich ptaków i zwierząt, a miała zaufanie do ludzi od samego początku, (co jest jeszcze bardziej trudne do pojęcia), wskutek czego całe to opowiadanie o jaskółce dla wielu wydać się może nieprawdziwem.

MICHAŁ RYMKIEWICZ.

# WIADOMOŚCI BIEŻĄCE.

## Z POWIATU STOLIŃSKIEGO.

— W dniach 19 i 20 lutego r. b., w ordynacji Dawidgródeckiej przeprowadzono dokładne tropienie łosi. Otropiono: w podleśnictwie Wieleniecklem 114 łosi, w nadleśnictwie Olmańskiem 34, w nadleśnictwie Józelińskiem — 1, razem 149 łosi.

Stan głuszców w pow. stolińskim podnosi się z każdym rokiem. Lęgi cietrzewi w roku ubiegłym były nieszczególne, tak, że stan ich, choć naogół jest dobry, mało się poprawił.

W sąsiednim powiecie łuninieckim panowała zaraza na dziki, wskutek której dziki wyginęły niemal doszczętnie. Zaraza ta przedostała się i do pow. stolińskiego, ale nie wyrządziła tu poważniejszych szkód.

Wilków jest w okolicy znacznie mniej. W ordynacji Dawidgródeckiej padło tej zimy 12 wilków.

KAROL RADZIWIŁŁ.
Delegat P. Z. S. Ł. na pow. Stolin.

## WILKI W SUWALCZYŹNIE.

Od kilkunastu dni, w okolicach jeziora Wigry — ukazują się liczne gromady wilków, które czynią znaczne szkody mieszkańcom okolicznych wsi, porywając inwentarz.

Tak dużej liczby wilków i tak zuchwałej ich napastliwości — w miejscowościach tych dawno już nie spotykano.

### SARNA SPOWODOWAŁA ŚMIERĆ KONIA.

Czy posądziłby ktokolwiek i kiedykolwiek sarnę, to tak łagodne i poczciwe stworzenie, o jakąś — nie mówię zbrodnię — ale nawet myśl występną. A przecież to uosobienie piękna i dobroci przyrody naszej, jakiem jest sarna, było powodem śmierci konia, który jej nigdy „drogi nie zastąpił". Dnia 26 stycznia r. b. na pograniczu, w rejonie strażnicy „Dziewicz" Korpusu Ochrony Pogranicza, spłoszył się na widok sarny koń taborowy „Łoskot", wożący załodze strażnicy wodę, i wpadł do Zbrucza, gdzie utonął.

*(J. Wł. K.).*

## KRONIKA MYŚLIWSKA.

— Powiatowe Towarzystwo Łowieckie w Stołpcach osiągnęło następujące rezultaty na dzierżawionych łowiskach: dn. 6 grudnia 11931 r. wieś Inica, pola i zarośla, pogoda, — 3°, 8 myśliwych, 7 miotów, na rozkładzie 21 zajęcy; dn. 8 grudnia 1931 r. wieś Hradki, pola i zarośla, pochmurno, +- 2°, 3 myśliwych, 8 miotów, na rozkładzie 116 zajęcy; dn. 13 grudnia 1931 r., las państwowy w Kuczkunach, śnieg przy 0°, 9 myśliwych, 8 miotów, na rozkładzie 113 zajęcy; dn. 20 grudnia 1931 r. wieś Suła-Nowopole, zarośla i pola, pochmurno, — 1°, myśliwych 16, miotów 7, na rozkładzie 16 zajęcy; dn. 24 grudnia 1931 r. las rządowy w Kruglicy, część druga, pochmurno, — 1°, myśliwych 16, miotów 8, na rozkładzie 18 zajęcy; dn. 3 stycznia 1932 r. las rządowy w Kruglicy, część pierwsza, pogoda, — 4°, 12 myśliwych, 8 miotów, na rozkładzie 77 zajęcy.

Lasy A. Ks. Radziwiłła, nadleśnictwo okińczyckie, dn. 10 stycznia 1932 r., słoneczna pogoda, — 4°, 20 myśliwych, 8 miotów, na rozkładzie 41 zajęcy, 2 jarząbki i 1 cietrzew; strzałów padło 167. W tych samych lasach zastrzelił leśniczy, p. Tatarzyński, dn. 3 stycznia 1932 r. rysia, który prawdopodobnie przeszedł z Rosji.

—y.—

— Na pograniczy wschodniem, w okolicy Hoszczy, pow. Równe, zorganizowane było przez p. Romana Potockiego i p. Załęskiego polowania na terenach własnych i wydzierżawionych. Dnia 21.XII.1931, w lesie Storóżów ubito w 12 strzelb, 36 zajęcy i 2 lisy. Dnia 22 i 23.XII, polowano w 7 strzelb na terenie m. Rzeczki, gdzie ubito 215 zajęcy, zaś dnia 24.XII., padło na terenie Hołyczówki zaledwie 7 zajęcy, na obecnych 12 strzelb. Zwierzostan w okolicach Hoszczy przedstawia się słabo. Oprócz zajęcy spotyka się tu lisy, jednak w małej ilości, oraz sarny, te ostatnie przeważnie w lesie Storożów. *(J. Wł. K.).*

— W maj. Trembki, wł. p. Gustawa Janasza, podczas polowań w roku 1931, padło: kuropatw — 1430, bażantów - kogutów — 92, królików — 56.

Drapieżników w tym okresie zabito: lisów — 8, tchórzy — 9, łasic — 32, kotów — 72, psów — 102, jastrzębi — 126, srok — 37 i wron — 133.

— n. —

Myśliwi z bataljonu K. O. P. Dederkały ubili w sezonie 1930/31 245 zajęcy, 1 lisa, 200 kaczek i 3 gęsi. W sezonie zaś 1931/32 padło 62 zajęcy, 5 lisów. Stan zajęcy w okolicy Dederkał, jak i w całym powiecie krzemienieckim i powiatach przyległych, jest słaby. Stwierdzono trzy wypadki łapania zajęcy na pętle w lesie radoszowickim i na Brzezinie I.

*(J. Wł. K.).*

### *Prośba o fotografje.*

*Redakcja „Łowca Polskiego" prosi PP. Myśliwych, posiadających ciekawe zdjęcia myśliwskie, o nadesłanie tychże Redakcji do użytku bieżącego.*

*Prosimy o podawanie nazwisk osób, które dokonały zdjęć w celu zamieszczenia ich pod fotografjami.*

*REDAKCJA „ŁOWCA POLSKIEGO".*

KOMITET REDAKCYJNY: J. Błeszyński, K. Czampe, J. Domaniewski, J. Dylewski, W. Garczyński, B. Gędziorowski, J. Gieysztor, W. Gieysztor, I. Grymiński, Wł. Janta-Połczyński, St. Kamocki, W. Kiltynowicz, H. Knothe, Wł. Korsak, E. hr. Krasiński, red. St. Krzywoszewski, prof. dr. E. Niezabitowski, M. hr. Potocki, A. hr. Rzewuski, Wł. Słonczyński, W. Szperling, K. Świderski, B. Świętorzecki, Fr. Unrug, Wł. Zabiełło i dr. St. Zaborowski.

Redaktor: Walenty Włodzimierz Garczyński. Wydawca: Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich.

PRENUMERATA: Zgóry za kwartał zł. 9; za pół roku zł. 17; za rok zł. 32. — Miesięcznie 3.50. — Numer pojedyńczy — 1 zł. Numer ozdobny 1 zł. 50 gr. Za numery, które wyszły przed zapłaceniem, liczymy po 1 zł. Za zmianę adresu 50 gr. Za numer reklamowany w przeciągu miesiąca — 25 gr.

CENY OGŁOSZEŃ: Milimetr za tekstem 60 gr. Cała strona — 300 zł.; 1/2 — 150 zł.; 1/4 — 75 zł.; 1/8 — 40 zł. Przed tekstem — 50% drożej. Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%.

Drobne ogłoszenia — płatne zgóry — po 10 gr. za wyraz; handlowe po 20 gr.; grube litery — po 20 gr.; najmniejsze ogł. — 2 zł. Znaki pisarskie liczą się za wyrazy.

W numerach ozdobnych: za tekstem milim. 90 gr. Cała strona 450 zł.; 1/2 — 225 zł.; 1/4 — 115 zł.; 1/8 — 60 zł. Przed tekstem 50% drożej. — Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%. — Agentom nie wolno pobierać zaliczek.

KONTO P. K. O. „Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich" 8082. ADRES: NOWY ŚWIAT 35. TELEFON 607-98.

Rękopisów redakcja nie zwraca i zastrzega sobie prawo czynienia zmian i skrótów w nadsyłanych artykułach, oraz decyzji co do terminu ich umieszczenia.

Redaktor przyjmuje rozmowy telefoniczne oraz interesantów w swem mieszkaniu prywatnem (Kredytowa 18 m. 3, tel. 604-25), codziennie, prócz sobót, między 4-ą a 5-ą pop. w redakcji — w poniedziałki od 6-ej do 7-ej pop. Biuro czynne od 9 do 3-ej i od 5-ej do 7-ej wiecz., w sobotę do godz. 3-ej.

# OGŁOSZENIA DROBNE

**Młode** foksterjery, po rasowych rodzicach, niezrównanych na dziki i lisy (do nor), tanio sprzeda Zarząd dóbr Przewrotne, p. Głogów pod Rzeszowem, Małopolska.

**Nasiona sadzonki drzew leśnych i roślin pastewnych** dla zwierzyny oraz **żywe bażanty** i **jaja** bażancie poleca po cenach konkurencyjnych Zarząd Lasów XX. Czartoryskich **Nadleśnictwo Babki** poczta **Krzesiny** Wielkopolska.

**Odstrzało** jeleni kapitalnych kozłów dzików poszukuje Albert Marylski. Pęcice poczta Pruszków Warszawski.

[redacted]

Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka, Warecka 15.